# MOŚKOWE SWATY

## KOMEDYA W I-ym AKCIE.

PRZEZ

Józefa Blizińskiego.

WARSZAWA
DRUKIEM „WIEKU", NOWY-ŚWIAT, Nr. 59.

1881

# MOŚKOWE SWATY.

# MOŚKOWE SWATY

## KOMEDYA W I-ym AKCIE.

PRZEZ

Józefa Blizińskiego.

---

WARSZAWA

DRUKIEM „WIEKU“, NOWY-SWIAT, Nr. 59.

—

1881

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава, дня 4 Марта 1881 года,

# OSOBY.

---

Kiksowicz.
Kiksowiczowa.
Jadwinia, ich córka.
Bolesław Żmudzki.
Onufry Karpik.
Marcin.
Mosiek Szwindelman.

(Rzecz dzieje się w domu Kiksowiczów, na wsi, w Kociej Górze.)

---

Teatr przedstawia pokój gospodarski; w głębi drzwi oszklone, stanowiące główne wyjście i prowadzące do ganku; na prawo drzwi i okno — to ostatnie bliżej widzów; na lewo dwoje drzwi: jedne w pierwszej kulisie do pokoju bawialnego, drugie w ostatniej, do pokoju Kiksowicza; umeblowanie skromne — na prawo kanapka z wypłowiałem pokryciem, kilka krzeseł pod ścianami.

## SCENA I.

### Jadwinia, Onufry.

JADWINIA.

Zkądżeś się pan o tem dowiedział?

ONUFRY.

Przypadkiem... żyd się wygadał.

JADWINIA.

I pan temu wierzysz?

ONUFRY.

Jakże nie mam wierzyć, kiedy tak jest... Rodzice panny Jadwigi dopóki trzymali w mieście oberżę „Pod Kogutkiem", to przyjmowali mnie, jak nie wiém kogo, i nazywali już nawet zięciem, a jak tylko zostali dziedzicami tej głupiej Kociej Górki, którą notabene przepłacili, tak zaraz im się w głowie przewróciło.

JADWINIA.

No, no, panie Onufry, zanadto...

ONUFRY.

Przepraszam pannę Jadwigę, ale bo kiedy się człowie-

kowi serce kraje, to nie może się powstrzymać, żeby nie powiedzieć tego, co myśli.

JADWINIA.

I myśleć pan Onufry tak nie powinien.

ONUFRY.

Więc jakże to sobie wytłómaczyć, że dawniej byłem dobry, a teraz patrzeć nie chcą na mnie? nie poczuwam się do tego, żebym co przeskrobał, jak byłem, tak jestem, pisarzem prowentowym... nawet teraz mam pensyę wyższą o pięćdziesiąt rubli, a na przyszły rok kto wie, czy nie zostanę głównym rządcą całych dóbr... no, i cóż tu kto może powiedzieć? Ale rodzicom zachciało się ni ztąd ni zowąd zięcia z szykiem! to cały sekret... mój Boże, gdzie się to te święte czasy podziały, kiedy mieszkali jeszcze w mieście? Pod Kogutkiem bywało szlachty jak nabił, bo skoro panna Jadwiga powróciła od madam, zamawiali się do rodziców umyślnie, aby panią zobaczyć i zalecać się. Przecie ja nie mogłem równać się z żadnym z tych paniczów... a jednak... było lepiej...

JADWINIA (*z pewnem rozdrażnieniem*).

Wtenczas właśnie powiedziałam sobie, że tylko za pana pójdę... a wiesz pan dla czego?

ONUFRY (*składając ręce*).

Panno Jadwigo! ja sam nie wiem, czem sobie zaskarbiłem...

JADWINIA.

Tem, żeś pan nie był do nich podobnym, żeś mnie... szanował.

ONUFRY.

A to dobre! czyżby się kto taki znalazł, żeby miał nie szanować panny Jadwigi?

JADWINIA (*j. w. chodząc*).

Byli tacy, którym się zdawało, że mi robią zaszczyt,

wywołując swojem obejściem rumieniec na moją twarz... pan mnie od tych napaści zasłoniłeś.

ONUFRY.

Ja?

JADWINIA.

Jedno zdarzenie tylko panu przypomnę... raz wszedłeś pan na to, gdy dwóch paniczyków z mlekiem pod nosem pozwalało sobie wobec mnie wyrażeń, które jakkolwiek osłonięte gazą dobrego tonu, były największą obelgą, jaką można było wyrządzić dziewczynie dobrze wychowanej.

ONUFRY (*oburzony*).

Nie może być!

JADWINIA.

Pan może i nie zauważyłeś ukrytego znaczenia tych słów, boś pan za uczciwy na to.

ONUFRY.

O ile przypominam sobie, to mi się tylko nie podobało, że te chłystki przybierali wobec panny Jadwigi miny nieprzyzwoite... leżeli sobie rozwaleni na kanapie, jakby ta buteleczyna szampana, co stała przed nimi, dawała im już patent na wielkich ludzi.

JADWINIA.

Nie wyrzekłeś pan ani słówka, tylko spojrzałeś na nich... nie wiem, czy mieli jeszcze tyle wstydu, czy też ich odwaga nie wyrównywała szykowi, dosyć, że zamilkli, i wkrótce wyszli... (*biorąc jego rękę*) ja tego wzroku pańskiego nie zapomnę... w tej chwili wydałeś mi się pan o tyle wyższym od tych eleganckich paniczów i wszystkich im podobnych, żeś mnie sobie zyskał nazawsze.

ONUFRY (*całując jej rękę*).

Panno Jadwigo!

JADWINIA.

To spojrzenie powiedziało mi po raz pierwszy, że mnie pan kochasz, i muszę się przyznać, otworzyło mi oczy... nie mogłam sobie przebaczyć, żem słuchając tych upokarzających zalecanek, upoważniała do nich niejako. Przypominasz pan sobie, że od tego czasu nie pokazywałam się tam, gdzie goście przesiadywali... a w panu... nawykłam widzieć prawdziwego przyjaciela i obrońcę... a w przyszłości opiekuna.

ONUFRY (*j. w.*)

Droga panno Jadwigo! (*po chwili*). Ah! ja się tylko boję rodziców!... oni będą chcieli przymusić pannę Jadwigę.

JADWINIA.

Po tem, co powiedziałam, pan jeszcze wątpisz? masz pan moje słowo, którego nie cofnę, choćby mi przyszło przechodzić największe przykrości... więc czyż jest powód niepokoić się jakiemiś plotkami.

ONUFRY (*smutnie*).

To nie plotki... żyd pokazywał rewers na kilkaset rubli, który dostał od ojca na wypadek, jeżeli mu nastręczy zięcia po jego myśli.

JADWINIA.

Czy podobna! (*n. s.*) Jak mamę kocham, rodzice zanadto się już kompromitują.

ONUFRY (*z energią*).

Nie ma co! ja tego Mośka przepłoszę... odechce mu się faktorstwa.

JADWINIA.

Tylko nie róbże pan awantur, bardzo proszę... znajdziemy przecie sposób.

## SCENA II.

**Kiksowicz** (*w płóciennym kitlu, wchodzi ze swojego pokoju z papierami w ręku*). **Onufry, Jadwinia.**

KIKSOWICZ (*do siebie, przeglądając papiery*).

Odebrałem jakiś pozew czy coś, i ani weź... nic a nic nie mogę zrozumieć... pytałem się woźnego, ale on taki mądry jak i ja... (*Onufry całuje go w ramię*). A, pan Karpik! zkądżeś się pan wziął?

ONUFRY.

Objeżdżałem nasze folwarki, a że mi tędy droga wypadła, więc uwiązałem konia u płotu i wstąpiłem na momencik odwiedzić... (*całuje go w ramię*).

KIKSOWICZ.

Panu zawsze tędy droga wypada .. (*mierzy oboje podejrzliwym wzrokiem; n. s.*) Hm, hm... to tak! raz pozwolić, to się tak spoufali, że potem rady nie dasz... dobry chłopak, ale cóż z tego ..

ONUFRY.

Jakże zdrowie pana Kiksowicza dobrodzieja?

KIKSOWICZ (*opryskliwie*).

Padam do nóg, nic mi nie brakuje... (*po chwili*) zresztą, przecie pan widzisz, żem zdrów... czego się to pytać i napróżno psuć gębę!

ONUFRY.

Bardzo się cieszę.

KIKSOWICZ (*j. w.*)

Nie może być! aj, aj, myślałby kto, żem już umierał.

ONUFRY.

A niechże Bóg broni!

KIKSOWICZ.

Ale mój panie, ludzie umierają i świat nie ginie... nie ja byłbym pierwszym, ani ostatnim.

JADWINIA (*n. s.*)

Jaki on poczciwy, że go to wszystko nie zraża.

KIKSOWICZ (*przegląda papiery; po chwili*).

Ciągłe czułości i czułości, nie wiedzieć z jakiej dał ciekawe rzeczy, co pana to może obchodzić, czym ja zdrów, czy chory?

ONUFRY (*polulnie, całując go w ramię*).

Przecież ja pana Kiksowicza dobrodzieja kocham i szanuję jak własnego ojca... i... radbym...

KIKSOWICZ (*przez zęby*).

Akurat!... (*czyta; Onufry i Jadwinia, która siada z prawej strony przy oknie, porozumiewają się wzrokiem i giestami; po chwili do siebie*). Zawsze nie zły chłopiec... i sprytny... onby mi to najprędzej przeczytał i wytłómaczył. (*p. c.*) Mój panie, kiedy tu już jesteś, to mógłbyś mi zrobić jedną rzecz.

ONUFRY (*skwapliwie*).

Służę.

KIKSOWICZ.

Zaraz: służę!... ja nie chcę żadnych usług, tylko przeczytaj mi pan to... (*daje mu papiery; Onufry przewraca je niecierpliwie*). Tak naprędce, z grubego, żebym wiedział, o co chodzi.

ONUFRY.

Ale tak nie można, bo to ogromnie rozwlekle pisane... trzeba dopiero wertować i szukać konkluzyi... (*idzie do okna, przy którem siedzi Jadwinia*).

KIKSOWICZ (*idąc za nim*).

Konkluzyi... konkluzyi (*n. s.*) byłaby tu dopiero konkluzya... (*odciąga go od okna*) najlepiej idź pan sobie tam do pokoju bawialnego... (*popycha go na lewo*) widno... dwa okna... nikt nie przeszkodzi... będziesz pan mógł wertować z całą uwagą... ja tam zaraz przyjdę.

## SCENA III.

**Kiksowicz, Jadwinia, później Kiksowiczowa.**

KIKSOWICZ (*po wyjściu Onufrego*).

Jadwiniu!

JADWINIA.

Co ojciec każe? (*wstaje powoli podczas następujących słów ojca*).

KIKSOWICZ.

Powiedz mi, po co ja cię edukowałem i trzymałem przez całe trzy lata na pensyi? co?

JADWINIA (*z uśmiechem*).

Trudna odpowiedź.

KIKSOWICZ.

Po co pozbyłem się oberży, na której robiłem majątek? hę? po co nareszcie kupiłem Kocią Górkę, nie targując się prawie? no? po to, żebyś była córką obywatelską, rozumiesz?

JADWINIA (*wzruszając ramionami*).

Mój ojcze...

KIKSOWICZ.

Aha! ja wiem, czego ty ruszyłaś ramionami... nie bój się, ja cię znam na wylot... (*ciszej*) ale ci radzę, wyperswaduj sobie wszystkie romanse, bo to na nic.

JADWINIA.

Jaki też ojciec jest, jak mamę kocham...

KIKSOWICZ.

Jaki! jaki!... taki jak być powinien, jeżeli dba o honor domu... (*po chwili, ciszej*) mówiła ci co matka?

JADWINIA.

O czem?

KIKSOWICZ.

Jakto? nic ci nie mówiła? (*szukając wyrażenia*). O gościach... których się spodziewamy.

JADWINIA.

Owszem, wspominała mama, że rodzice chcieliby dom otworzyć.

KIKSOWICZ.

Rozumie się... przecie tak żyć nie możemy... tylko że kto chce przyjmować u siebie, powinien się postarać o doborowe towarzystwo (*z spojrzeniem ku drzwiom, któremi wyszedł Onufry*) i przestać się poufalić z osobami... które... (*po chwili*) a o liście Moska Szwindelmana wiesz?

JADWINIA.

Nie wiem.

KIKSOWICZOWA (*która przed chwilą weszła z prawej strony, w penioarze i ogromnym koku, z papierosem w ustach; do męża n. s.*)

Już nie mogłeś wytrzymać, żeby się nie wygadać o żydzie... cóż to za język!

KIKSOWICZ.

No, co? cóż się stało?

KIKSOWICZOWA.

Alboż jej nie znasz? jak się powie, tak od razu bez ogródki, że ktoś ma przyjechać umyślnie do niej, to gotowa robić mu przez upór impertynencye... trzeba tak rzeczy ukartować, żeby się niczego nie domyślała.

KIKSOWICZ.

No, to gadajże sama... ja tam nie potrafię tak, jak ty chcesz.

KIKSOWICZOWA.

Nie potrzeba wcale o tem mówić... jeżeli się napomknie, to zdaleka, okolicznie... zresztą już mnie to zostaw.

KIKSOWICZ.

Ale bo i ty czasem masz języczek...

KIKSOWICZOWA.

Tylko mnie nie ucz, proszę cię... (*po chwili do Jadwini, która stoi w oknie*). Nudy, nudy, moje dziecko... wyglądasz przez okno, bo ci tęskno do ludzi... na nieszczęście, choćby twoje oczy były magnesem, nie przywabisz tu nikogo... (*do męża*) mógłbyś też zaprosić czasem kogoś, postarać się o przyzwoitą młodzież.. Jadwinia by się rozerwała.

KIKSOWICZ (*n. s.*)

No, to ona nieźle obróciła.

JADWINIA.

Alboż ja narzekam?... nie nudzę się wcale.

KIKSOWICZOWA.

Tak mówisz, tak mówisz, bo cóż masz robić biedaczko... ale przyznaj się, czy ci czasem serduszko nie zabije, gdy sobie wspominasz, jak to kiedyś u nas bywało... (*unosząc się stopniowo*) ah! Boże, mnie samej — chociażbym się głośno do tego nie przyznała — aż żal nieraz tych czasów... zawsze pełno gości... odjechał jeden, przyjechało dwóch... tych dwóch ledwo za bramą, jest na ich miejsce czterech... a wszystko sama arystokracya.

KIKSOWICZ (*niecierpliwiąc się, n. s.*)

Oho! jest... już wpadła na swoje.

KIKSOWICZOWA.

Butelkowscy z „pod Łabędzia“ pękali z zazdrości, bo u nich stawali tylko oficyaliści i drobna szlachta... ale bo też to byli ordynarni ludzie, szczególniej sama... gdzież jej do mnie.

KIKSOWICZ (*j. w.*)

Co ty zawsze z tymi Butelkowskimi.

KIKSOWICZOWA.

Przyznasz, że miałam inne wzięcie, i że potrafiłam być na swojem miejscu... to też umiano się na tem poznać i honorowano mnie. Co się najeździłam po spacerach wolantami i powozami, to już w życiu mojem tyle nie użyję... a zdrowia mojego co się napili! nie było dnia... każda pijatyka tem się kończyła.

KIKSOWICZ.

Nie pleć, nie pleć, bo aż mdło słuchać.

KIKSOWICZOWA.

Alboż tak nie było?

KIKSOWICZ (*ciszej, wskazując na córkę*).

Jadwinia.

KIKSOWICZOWA.

No, to co?.. cóż w tem zdrożnego?... sam mi dziękowałeś, bo ci wino odchodziło.

KIKSOWICZ.

No, dobrze, dobrze... (*do siebie*) czasem jak się rozgada...

KIKSOWICZOWA (*biorąc Jadwinię*).

Chodź Jadwiniu, ustąpmy, bo ojciec nie w humorze... powiem ci coś... ale to coś takiego, takiego, że jak usłyszysz... (*głębią wchodzi Mosiek Szwindelman*). A! pan Mosiek...

MOSIEK (*z powagą*).

Moje uszanowanie państwu.

KIKSOWICZOWA (*do Jadwini*).

Jakieś interesa... pewno chce zboże kupić... nie przeszkadzajmy... (*wychodzą na prawo*).

## SCENA IV.

**Kiksowicz, Mosiek.**

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Coś nie zwlekał z przyjazdem... to dobry znak... (*głośno*). Jak się pan Mosiek ma (*podają sobie ręce, dotykając zlekka*).

MOSIEK.

Chwalić Boga, jako tako.

KIKSOWICZ.

Siadajże pan.

MOSIEK.

Dziękuję... postoję.

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Sam nie zaczyna... (*głośno, nieco zakłopotany*). Cóż tam... hm, hm... (*po chwili*) pan Mosiek umyślnie do nas przyjechał?

MOSIEK.

Umysznie.

KIKSOWICZ (*p. c.*)

Cóż tam słychać na świecie?

MOSIEK.

Ładny czas.

KIKSOWICZ.

Bardzo ładny... ale ja się pytam... o ten nasz interes.

MOSIEK.

Co ja miałem trudnoszcze, to pan nie da wiarę. . (*poruszenie Kiksowicza*) ale nie bój się pan... czego się Mosiek podejmie, to zrobi.

KIKSOWICZ.

A no, więc jest?

MOSIEK.

To się wie, musiał być, ale co ja miałem!

KIKSOWICZ.

O, o... cóż znowu takiego? co to przesadzać.

MOSIEK.

Co pan myszli? pan myszli, że to tak tylko palcem kiwnąć, i już jest!... przecie ja byle kogo nie mogę panu stręczyć... a taki, jakiego pan chce, to umie cenić swoje godnoszcz, bo to jest pan z panów, rozumie pan?... i jeszcze chodzi o to, żeby w jakie podejrzane familie nie właził... jak on mi się zaczął wypytywać i obracać na wszystkie strony, to ja się spocił jak mysz.

KIKSOWICZ (*niespokojny. po chwili*).

I cóżeś mu pan mówił?

MOSIEK.

Co ja mówił? (*śmiejąc się*) ja mówił, że pan szynkował na oberży... (*p. c. klepiąc go po ramieniu*). Nie bój się pan... co to się pytać... Mosiek głupstwa nie powiedział, bo ma takt.

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Jakby mnie co w serce ukłuło... (*chodzi zamyślony, po niejakiej chwili do siebie*) Ha! dla dziecka... bo gdyby nie to... ktoby mi kazał poniżać się.. (*po chwili głośno*) I kiedyż możemy go się tu spodziewać?

MOSIEK.

Kiedy? dzisiaj.

KIKSOWICZ (*podskoczywszy przestraszony*).

Co! dzisiaj?

MOSIEK.

U mnie tak się robi interes... On już jedzie,.. tylko co go patrzeć... zaraz za mną miał wyjechać z miasta.

KIKSOWICZ (*bardzo zakłopotany*).

I nie było to zaraz gadać! (*n. s.*) tak nagle... (*idzie ku drzwiom swojego pokoju*; *n. s.*) nie wiem, czy będzie czem przyjąć jak się należy, żeby nie było wstydu... (*głośno, wra-*

*cając od drzwi*) także nie wiedzieć po jakiemu, żeby nie uprzedzić przynajmniej na jakie parę dni.

MOSIEK.

Ja myszlałem, że państwu pilno.

KIKSOWICZ (*coraz więcej tracąc głowę*).

Pilno... pilno... (*n. s.*) trzeba, żeby się obiedwie ogarnęły, muszę im powiedzieć... (*idąc na prawo*) Marcysiu!... (*wchodzi spiesznie do pokoju żony*).

MOSIEK (*sam*).

Ja go muszę pilnować, bo on całkiem głowę stracił.... jeszcze jakie głupstwo zrobi i wszystko zepsuje... (*patrzy przez okno*) mnie się zdaje, że jego tam już za wsią widać.

KIKSOWICZ (*wraca i idzie ku drzwiom na lewo*).

Idę się przebrać.

MOSIEK (*zatrzymując go*).

Panie Kiksowicz... (*mentorskim tonem*) tylko niechże się pan nie zapomni... pan musi udawać, co pan wcale nie wiedział o tem, że on ma przyjechać, rozumie pan?

KIKSOWICZ.

A to dla czego?

MOSIEK.

Dla czego?... jakże ma być?... przecie on państwa nie zna, to nie może tak przyjechać od razu ni ztąd ni zowąd... to byłoby nie ładnie. My się umówili, że on tędy będzie niby przejeżdżał, i jemu się jaki przypadek zrobi, rozumie pan?... wjedzie w rów, albo co, i jemu co pęknie, a ja się z nim przypadkiem spotkam, i tu go przyprowadzę, rozumie pan?

KIKSOWICZ.

Więc i on także będzie udawał, że nie przyjechał umyślnie? jeżeli tak, to nie będzie mogło wcale być mowy... o tem.

MOSIEK.

Już daj pan pokój... zostaw pan to mnie, to jest môj interes... tylko niech pańska córka wyjdzie go zabawić, żeby ją zobaczył... a zresztą, to już spuść się pan na mnie.

KIKSOWICZ.

Panie Mosiek, ja rachuję na to, że panbyś przecie nie chciał narazić nas na...

MOSIEK (*z powagą*).

Bądź pan spokojny.., (*Kiksowicz wychodzi na lewo. Sam; dobywa kawałek cygara; śmiejąc się*). On się boi... i ma recht, co się boi... ale kiedy jego pieniądze swędzą, to ja nie będę go rozumu uczył... (*p. c.*) trzeba iść naprzeciwko tamtego.

## SCENA V.

### Onufry, Mosiek.

ONUFRY (*wchodzi z lewej strony, chowając papiery w zanadrze*).

Poznałem jego głos.

MOSIEK (*poufale, wyciągając doń rękę*).

Jak się pan ma?

ONUFRY (*stając tuż przed nim; groźnie, lecz cichym głosem oglądając się*).

Co ty tu żydzie robisz?

MOSIEK (*obrażony*).

Wusydue? a panu co do tego? (*chce odchodzić*).

ONUFRY.

Czekajno... możebyśmy pomówili w dobry sposób... wiem, po co tu przyjechałeś.

MOSIEK (*drwiąco*).

A po co pan przyjechał, to ja także wiem.

ONUFRY.

Wiesz? no więc kiedy tak, to słuchaj: ja się ciebie, ani

całej roboty twojej nie boję, rozumiesz? mam tu w kieszeni, o! (*pokazuje na chwilę papiery*) lekarstwo na was.

MOSIEK (*z niespokojną ciekawością*).

Jakie lekarstwo?

ONUFRY.

Takie, co was ztąd wykurzy... ale ponieważ wolałbym, żebyś za tem nie czekał, więc powiadam ci po przyjacielsku: wynoś się zaraz!

MOSIEK (*drwiąco*).

A jak ja nie usłucham, to co będzie?

ONUFRY (*unosząc się stopniowo*).

Nie usłuchasz?

MOSIEK.

Co pan sobie myszli? ja tu po to samo przyjechał, co i pan... to panu wolno geszeft robić, a komu innemu nie? co to za monopol?

ONUFRY (*następując nań*).

Nie usłuchasz?

MOSIEK (*z pewnym niepokojem*).

Daj pan pokój... co pan ludzi napastuje?

ONUFRY.

Gadaj pókim dobry: nie usłuchasz?

MOSIEK.

Co to jest?

ONUFRY.

Chcesz się dostać do kryminału? co?

MOSIEK.

A pan za co mnie będzie kryminałem straszył?

ONUFRY.

Bo tam dla ciebie miejsce, między złodziejami.

MOSIEK.

To może i ja złodziej?

ONUFRY.

Toś ty o tem nie wiedział? ty jesteś sam majster.

MOSIEK.

Szkoda, że tego kto nie słyszy, bo by pan za to musiał odpowiedzieć.

ONUFRY.

Słuchajno, a kto to mnie namawiał na szachrajstwo ze zbożem kupionem od dziedzica? co?

MOSIEK (*z hardością*).

Gdzie pan ma na to świadki?

ONUFRY.

Świadki? świadki? a więc bez świadków to wszystko wolno?

MOSIEK.

Czy ja wiem? pan zna prawo.

ONUFRY.

Czekajże! kiedyś ty taki prawnik... Świadków nie ma (*ogląda się*). Widziałem tu gdzieś kij... (*bierze kij z kąta*).

MOSIEK (*ze strachem*).

Co pan za gwałt robi... ja będę krzyczał.

ONUFRY (*oglądając się, idzie ku niemu z kijem*).

Co! będziesz krzyczał? awantury robił w czyim domu? (*zachodzi mu od drzwi*).

JADWINIA (*wchodząc z prawej strony*).

Panie Onufry! a to co?

MOSIEK (*przestraszony*).

Ja go będę do sądu skarżył... to rozbójnik jest... spokojnych ludzi napastuje... (*wychodzi głębią okrążając Onufrego; we drzwiach*) A szajgec!

## SCENA VI.

**Onufry, Jadwinia.**

JADWINIA.

A prosiłam, żebyś pan nie wszczynał awantur... jaki też pan jesteś, jak mamę kocham, gniewam się.

ONUFRY (*zmięszany*).

Chciał tu krzyki robić.

JADWINIA.

A ten kij co znaczy? postaw go pan zaraz.

ONUFRY (*stawiając kij*).

Tak się pannie Jadwidze zdaje... to trudno się powstrzymać... a zresztą, cóż się wielkiego stało? korona mu z głowy nie spadła... a żem go nastraszył, to może mu się odechce swatów, i będzie się bał przywieźć tego tam...

JADWINIA.

Dużo pomogło, jak już przywiózł.

ONUFRY.

Nie może być!

JADWINIA.

Podobno tylko go tu patrzeć... kazano mi się przebrać, ale umyślnie tego nie zrobiłam.

ONUFRY.

To wszystko jedno... panna Jadwiga najładniejsza tak na codzień... no, ale patrzcież państwo, jak się pospieszyli... (*rezolutnie*) ano, kiedy tak!

JADWINIA.

Tylko dajże pan pokój... znowu pan chcesz co zbroić.

ONUFRY.

Nie, nie... niech się panna Jadwiga nie boi... ja mam sposób, ale całkiem niewinny... będzie śmiechu... ha, ha, ha, wyobrażam sobie naprzód, jakie miny zrobią, gdy się do-

wiedzą... ha, ha, ha... (*po chwili, zmieniając ton*) chociaż... kto wie... a nuż,.. (*p. c. nieśmiało*) panno Jadwigo, ja bo to jestem niby zuch, ale nie przy pani... gdy chodzi o to, za co bym w ogień skoczył... to jest o to, co pani wiesz... to cała śmiałość i pewność mnie odchodzi... (*czule*) panno Jadwigo, czy pani nie zmienisz słowa, choćby tu nie wiem kto do pani przyjechał?

JADWINIA (*pół żartem*).

To będzie zależeć od tego, jak się przedstawi.

ONUFRY.

A widzi pani!

JADWINIA (*z gniewem*).

Panie Onufry! cóż to za niedowierzanie? zobaczysz pan, że tak zrobię, jeżeli się pan nie poprawisz... (*po chwili łagodniej*). Z czegoś się pan śmiał i o jakim to sposobie wspominałeś?

ONUFRY.

Kiedy... widzi panna Jadwiga... ja sam nie wiem, czy mam prawo...

JADWINIA.

Do czego?

ONUFRY.

Tak jakoś korzystać z cudzej biedy... a jeszcze też...

JADWINIA (*niecierpliwie*).

Co pan mówisz? nic nie rozumiem.

ONUFRY.

Oto tak... hm, hm... (*n. s.*) chociaż nie wiem, czy to powiedzieć... zmartwi się biedna.

JADWINIA (*j. w. tupiąc nogą*).

Jak mamę kocham!

ONUFRY.

No, więc powiem... oto, ojciec odebrał dziś pozew, w którym...

KIKSOWICZ (*za sceną*).

Jedzie! jedzie! Marcysiu! Jadwiniu!

JADWINIA (*żywo, porywając go za rękę*).

Jaki pozew?

ONUFRY.

Ojciec idzie.

JADWINIA.

To nic, pójdź pan tędy... przejdziemy przez pokój bawialny do ogrodu... (*wybiegają na lewo*).

## SCENA VII.

**Kiksowicz** (po chwili) **Kiksowiczowa** (w kulisie).

KIKSOWICZ (*wchodzi spiesznie ze swojego pokoju naciągając surdut, ale bez kamizelki, tylko w białej chustce na szyi, biegnie do drzwi szklanych, przez które wygląda*).

Jedzie! (*idąc do drzwi żony*) Marcysiu! Marcysiu!

KIKSOWICZOWA (*we drzwiach*).

Czy mnie wołasz?

KIKSOWICZ.

Wychodźże.. jedzie (*spogląda w okno*) już jest w dziedzińcu.

KIKSOWICZOWA.

Nie może być! powozem?

KIKSOWICZ.

A jakże!... gdzież jest Jadwinia?

KIKSOWICZOWA.

Przebiera się w swoim pokoju.

KIKSOWICZ.

Ale! a tego tam zostawiłem... (*zagląda do pokoju bawialnego*). Panie Karpik!... nie ma go... no, mniejsza o to (*do żony*). Cóż, nie idziesz? chodźże, trzeba go przyjąć... ale i ty, widzę, jeszcześ nieubrana... dobryś!

KIKSOWICZOWA.

Zaraz będę... (*chowa się*).

KIKSOWICZ.

Będziesz, będziesz za dwie godziny... niby ja cię nie znam... (*nasłuchuje przy drzwiach*) już go słychać... (*przysposabia się*). Hm, hm... (*poprawia włosy*).

KIKSOWICZOWA (*pokazując znowu głowę we drzwiach*).

Zawsze mi przymawiasz, że długo robię toaletę... zdaje ci się, że to wasze ubranie, co...

KIKSOWICZ (*przytłumionym, lecz nakazującym głosem*).

Schowaj się, bo cię jeszcze zobaczy w tym negliżu... już wchodzi do ganku.

KIKSOWICZOWA (*z krzykiem, wyciągając ręce*).

Ah!... Piotruś!

KIKSOWICZ (*j. w. przyskakując*).

Cicho! czego chcesz?

KIKSOWICZOWA (*dramatycznie*).

Kamizelka!

KIKSOWICZ (*nie rozumiejąc j. w.*)

Co kamizelka?

KIKSOWICZOWA (*wskazując*).

Kamizelka! spojrzyj na siebie... uciekaj! (*chowa się*).

KIKSOWICZ (*spogląda po sobie i spostrzega brak kamizelki*).

A! jak pana Boga kocham... (*ucieka do swego pokoju*).

## SCENA VIII.

**Bolesław, Mosiek, Marcin** (wchodzą głębią).

MOSIEK (*wszedłszy ostrożnie, ogląda się*).

Nie ma go tu?

BOLESŁAW (*do Mośka, wskazując na Marcina*).

Po cóż ten tu wlazł za nami?

MOSIEK.

Nic nie szkodzi (*do Marcina, który zostaje przy drzwiach*). Panie Marcin, weź pan ten kij i trzymaj go pan w ręku (*daje mu kij*).

MARCIN.

Po co?

MOSIEK.

Tak! to zawsze bezpieczniej... a jak jabym się za pana schował, to pan będzie machał, rozumie pan?

MARCIN.

Bić się? ja? dziękuję uniżenie... trzeba sobie było nająć parobka (*stawia kij*).

MOSIEK (*pogardliwie*).

Pan się boi... no, to nic nie szkodzi... zawsze zostań pan tu, może będzie potrzebny świadek (*do Bolesława, który jest na przodzie sceny*). To wygląda z większą paradą, przecie ja mu za to zapłacił, żeby udawał kamerdynera.

MARCIN (*urażony, n. s.*)

Łapserdak żyd! (*przechadza się w głębi, potem wychodzi do ganku, zkąd wraca ku końcowi sceny*).

BOLESŁAW (*rozglądając się*).

Mój Mośku, tyś mnie, widzę, wziął na kawał... zachwalałes, zachwalałeś, a ja zaczynam wątpić, czy mi się tu podoba.

MOSIEK (*niespokojny*).

Dla czego się panu ma niepodobać?

BOLESŁAW (*śmiejąc się*).

Dla tego właśnie, że tobie się podobało... naprzykład te sosy, jak w jakiej oberży (*pociąga nosem*).

MOSIEK,

Co to złego? widać, że jest co jeść.

BOLESŁAW.

Tobie bo cybula pachnie.

MOSIEK.

I panu będzie pachnieć, tylko pan zobaczy pannę.

BOLESŁAW.

Tak jesteś pewnym swego? (*rzuca się na kanapę*) opisałeś mi ją ponętnie, ani słowa .. ale powiedz sam, czy ja mogę polegać na twoim guście? (*po chwili*) czy ty sam sobie żonę wybierałeś?

MOSIEK.

My patrzymy tylko na pieniądze... (*obruszając się*). Pan sobie kpi, a tu idzie o geszeft.

BOLESŁAW.

Dla ciebie, a nie dla mnie.

MOSIEK.

Jakto nie dla pana? a jaki pan znajdzie sposób, żeby mnie oddać te dwa tysiące rubli? przecie pan wie, że to pana interesuje, bo się pan podpisał.

BOLESŁAW.

Ileż wziąłem od ciebie?

MOSIEK.

Czy pan, czy pański brat, to wszystko jedno.

BOLESŁAW.

Przyjąłem odpowiedzialność za ten dług przez pamięć na nieboszczyka .. ale zważywszy, że korzystając ze smutnych okoliczności obdzierałeś go, i że dałeś mu może ledwo czwartą część tego, o ile się dopominasz...

MOSIEK.

Co mnie do tego, ja mam pański podpis, to dla m ie dosyć.

BOLESŁAW (*wstaje*).

To kontentujże się podpisem.

MOSIEK (*patrzy mu w oczy; po chwili*).

Niech pan nie żartuje.

BOLESŁAW.

Ha, ha, ha, jak zbladł! co to za chciwość!

MOSIEK.

Jakto chciwość? ja się dopominam o swoje.

BOLESŁAW.

Wiesz, że odbierzesz wcześniej czy później.

MOSIEK.

Prędzej czy później, to niewszystko jedno; ja wolę prędzej; a jak się pan nie ożeni, to zkąd pan będzie miał oddać? czy może jak pan pójdzie do tej fabryki na inspektora?

BOLESŁAW.

No, cóż chcesz... będę miał pensyę, co miesiąc dostaniesz sobie ratę.

MOSIEK.

Już ja wolę, niech się pan żeni; (*po chwili*) ja panu opuszczę pięćset rubli.

BOLESŁAW (*śmiejąc się*).

Zamało.

MOSIEK (*z poruszeniem*).

Zamało?

BOLESŁAW.

Gdybym ci dał teraz wszystkiego tyle gotówką, tobyś skwitował z całego długu z pocałowaniem ręki, nieprawdaż?

MOSIEK (*rozdrażniony, wyciągając rękę*).

Nu, daj pan... od złego dłużnika bierze się i plewy: daj pan! a gdzie pan ma pieniądze? ha, ha, ha... (*po chwili*) czy to uczciwie jest? (*p. c.*) nu, co się pan śmieje?

BOLESŁAW.

Mosiek daje lekcye uczciwości, to dobre! a czy ty wiesz, co to za zwierzę uczciwość? żeby rozumieć, trzeba być na to człowiekiem, a nie pijawką taką, jak ty, pasożytem, żyjącym cudzą krwią i potem.

MOSIEK.

Jakim potem? ja wiem, że ja się dobrze napocę, nim co odbiorę. Na co ja mam tę trochę pieniędzy, na to, żebym miał z czego żyć, rozumie pan? a jak mnie przepadnie tu i tu, to ja zdechnę z głodu.

BOLESŁAW.

A pracować niełaska?

MOSIEK.

Ny, czy to nie praca jest, co ja mam z panem? (*głaszcząc go po rękawie*). Miej pan sumienie, żeń się pan! co to panu złego będzie?

BOLESŁAW.

Zobaczę, zobaczę... jeżeli tylko mi się podobają... bo przecie chodzi nietylko o pannę, ale także i o papę i o mamę.

MOSIEK.

Co panu do pape i do mame?

BOLESŁAW (*wyniośle*).

Jestem Żmudzki, nie zapominaj o tem.

MOSIEK.

Ja pamiętam, bo mam pański podpis w kieszeni.

## SCENA IX.

Poprzedzający, **Kiksowicz** (wychodzi od siebie).

KIKSOWICZ (*udający radosne zdziwienie*).

A!... hm, hm... (*nie wie co powiedzieć*).

MOSIEK (*do Bolesława, trącając go*).

To on.

BOLESŁAW (*n. s.*)

No, to już jeden niezły egzemplarz (*do Kiksowicza*). Czy z panem domu mam przyjemność mówić?

KIKSOWICZ (*w ukłonach*).

Do usług pana dobrodzieja.

BOLESŁAW.

Przepraszam najmocniej, że lubo nieznajomy, pozwoliłem sobie w przejeździe robić panu subjekcyę.

KIKSOWICZ (*j. w.*)

A! panie dobrodzieju.

BOLESŁAW.

Mały przypadeczek... jak to w drodze... wyleciała u powozu jakaś śrubka, i szukają jej... a tymczasem...

KIKSOWICZ.

Niechże pan dobrodziej będzie łaskaw do salonu, bo tu tylko pokój gospodarski... jestem bardzo szczęśliwy (*podaje obie ręce; n. s.*) na czole ma, że pan z panów... (*głośno*) proszę, proszę... (*n. s.*) Jadwinia nie wychodzi.

BOLESŁAW (*n. s.*)

Włożyć mu szlafmycę i przypasać fartuch, kuchta bernardyński... (*Kiksowicz idzie do Marcina, którego teraz spostrzegł, i chce się z nim witać*).

MOSIEK (*pociągając go za surdut*).

Co pan robi? to kamerdyner.

KIKSOWICZ (*z uszanowaniem*).

Kamerdyner! (*spoglądają na siebie z Marcinem, jak gdyby się już gdzieś widzieli*).

BOLESŁAW.

Ale może tu są panie?

KIKSOWICZ.

Są, są, a jakże!

BOLESŁAW.

A ja tak po podróżnemu.

KIKSOWICZ.

Nic nie szkodzi, służę panu dobrodziejowi... (*wychodzą na lewo wraz z Mośkiem; Kiksowicz ogląda się jeszcze niespokojny na Marcina*).

## SCENA X.

**Marcin, (później) Kiksowiczowa.**

MARCIN.

Gdzie ja widywałem tego jegomości? bardzo mi znajoma facyata... (*po chwili*) więc to jest tutejszy stary... niech mi daruje, ale miny nie ma za grosz... nic obywatelskiego... prosty cybulus... (*p. c. z ironią*) i to ma wieś, jest sobie dziedzicem, gdy taki jak ja z moją miną i szykiem muszę występować w charakterze lokaja!... o losie! losie!... (*p. c. siadając na kanapie*) zgroza, co się to nie robi dla tych marnych rubelionów..

KIKSOWICZOWA (*wchodzi z prawej strony, wystrojona, zapinając bransoletę na ręku*).

No, już jestem gotowa na przyjęcie pana zięcia... nie powie, zdaje mi się, że z byle kim ma do czynienia... jak cię widzą, tak cię piszą.. ale gdzież oni poszli? (*idzie ku drzwiom do bawialnego pokoju*).

MARCIN.

Aha! to pewno mama dobrodzika... (*wstaje*).

KIKSOWICZOWA (*spostrzegłszy go*).

Któż to... czy on?... niezawodnie!... jaki ten Piotruś głupi, żeby zostawiać go samego... (*kłania się*).

MARCIN (*podobnież*).

Wypada się zaprezentować... (*przybliża się*). Hm, hm... jak Stwórcę kocham! czy mnie oczy nie mylą?

KIKSOWICZOWA (*poznając go; n. s.*)

Pan Marcin... Jezus Marya!

MARCIN (*n. s.*)

Pani Kiksowa!

KIKSOWICZOWA (*n. s.*)

Co on tu robi?

MARCIN (*n. s.*)

Oberżystka z pod Kogutka.

KIKSOWICZOWA (*n. s.*)

Oberkelner z pod Łabędzia... skompromituje nas... zemdleję.

MARCIN.

Witam panią dobrodziejkę... (*całuje ją w rękę*).

KIKSOWICZOWA (*obrażona, wyrywając rękę*).

A toż co znowu?

MARCIN.

Jakto? pani dobrodzika mnie nie poznaje?

KIKSOWICZOWA (*śmiejąc się z przymusem*).

Ha, ha, ha... przyśniło się coś panu.

MARCIN.

Przecież mówię z panią Kiksową.

KIKSOWICZOWA (*innym tonem*).

Najprzód z panią Kiksowicz, nie Kiksową, rozumiesz pan?

MARCIN.

Czy funt fig, czy fig funt, to wszystko jedno... Kiksowicz, Kiksowa.

KIKSOWICZOWA (*n. s. tragicznie*).

Złapałam się!

MARCIN.

A widzi pani, że moja prawda.

KIKSOWICZOWA (*uroczyście, chwytając go za rękę*).

Panie Marcinie!

MARCIN.

Słucham.

KIKSOWICZOWA.

Zkądżeś się pan tu wziął u nas?

MARCIN (*zagadując*).

Ale jaką ja mam pamięć... chociaż zapuścił wąsy, co

go bardzo zmieniło. jednak powiedziałem od razu, że ja go gdzieś znam.

KIKSOWICZOWA.

Kogo?

MARCIN.

Pana Kiksa... chciałem mówić pana Kiksowicza.

KIKSOWICZOWA (*prędko, oglądając się niespokojnie*).

Kupiliśmy tę wieś przed dwoma laty... (*składając ręce*). Panie Marcinie!

MARCIN.

Słucham.

KIKSOWICZOWA.

Miej pan wzgląd... mamy gości.

MARCIN.

Wiem o tem, bo ja właśnie jestem... w asystencyi.

KIKSOWICZOWA.

Pan?... nie może być!... to pan nie jesteś już oberkelnerem?

MARCIN.

E! od kiedy!

KIKSOWICZOWA.

A cóż pan teraz robi?

MARCIN.

Ja? nic... tak, praktykuję... i właśnie przyjechałem tu z jednym... z moich dobrych znajomych, któremu mam obowiązek... usłużyć.

KIKSOWICZOWA.

Nie może być!... (*po chwili*) pan z nim przyjechałeś?... a gdzież on jest?

MARCIN.

Poszedł do salonu z panem Kiksowiczem.

KIKSOWICZOWA.

No, to i ja tam idę... (*idzie na lewo; zatrzymując się*)

a w jakimże to rodzaju człowiek? młody, ładny, bogaty, familiant?... czy pan jesteś dobrze z nim?

MARCIN.

O! on bezemnie kroku nie zrobi... (*n. s.*) żeby mi się tak udało naciągnąć ich i zrobić interesik na własną rękę, toby było wcale nieźle... (*głośno, zatrzymując ją*) za pozwoleniem pani dobrodziki.

KIKSOWICZOWA.

Co?

MARCIN (*tajemniczo*).

Jabym pani oświadczył coś w wielkim sekrecie.

KIKSOWICZOWA (*ciekawie*).

No? no?

MARCIN (*j. w.*)

Bo to dałoby się coś powiedzieć i na tę stronę i na tę stronę... chociaż to delikatna materya... ale przedewszystkiem, po co tu żyd? on państwa orżnie.

KIKSOWICZOWA (*z przekonaniem*).

Zapewne, bo to wielki szachraj, ja wiem..! ale to trudno!

MARCIN.

Możemy cały ten interes obrobić w swojem kółku.

KIKSOWICZOWA.

A! wie pan co, to nie jest zła myśl, ale jakże to?

MARCIN.

Ja pani powiem wszystko detalicznie... tylko... zdaje mi się, że ktoś nadchodzi... czybyśmy nie mogli pomówić tak, żeby nas żyd nie podsłuchał.

KIKSOWICZOWA.

No, to chodźmy na świeże powietrze... do ganku... (*wychodzą głębią*).

## SCENA XI.

**Jadwinia (później) Bolesław.**

Jadwinia (*wychodząc z pokoju bawialnego*).

Ojciec też zrobił dopiero, jak mamę kocham! sprowadzić mnie prawie gwałtem z ogrodu na to, żeby potem sobie odejść, i mnie zostawić sam na sam z tym jegomością... słychane to rzeczy? a ten taki obcesowy, że niech Bóg broni... a co za poufałość! jak gdyby mnie znał Bóg wie odkąd... zapalił sobie cygaro, nie prosząc o pozwolenie, jak przy jakiej garderobianej... umyślnie odeszłam... niech wie.

Bolesław (*w progu, z cygarem w ustach*).

Przepraszam pannę Jadwigę, ale chciałem się dowiedzieć, co mnie pozbawiło jej miłego towarzystwa... (*Jadwinia kaszle z afektacyą*) a! znowu kaszelek... może pani szkodzi dym z cygara?

Jadwinia.

Pytanie nieco zapóźne.

Bolesław.

Przyznam się, że mi to nie przyszło na myśl... panie się teraz tak emancypujecie... przypuszczałem zupełnie co innego (*przybliża się, Jadwinia kaszle mocniej*). O! widzę, że trzeba rzucić... patrz pani (*rzuca cygaro*) już nie ma... (*przybliżywszy się*) bywają czasem osoby dotknięte chroniczną manią mizantropii, sądziłem, że pani należąc do ich liczby, systematycznie stronisz od towarzystwa.

Jadwinia.

Nie od każdego.

Bolesław.

A, więc tylko od mojego? czy tak?

Jadwinia (*n. s.*)

Co ja mu powiem, kiedy sam się nie domyśla?... (*głośno*) każde prześladowanie obudza chęć unikania go.

BOLESŁAW.

Prześladowanie? (*n. s.*) nie żenuje się... dosyć wyraźnie.

JADWINIA (*rozdrażniona*).

Zdaje się, że to rzecz bardzo naturalna.

BOLESŁAW (*rozdrażniony*).

Ale nie koniecznie prowadząca do celu, bo czasem jak trafi na upartego...

JADWINIA (*ostro, patrząc mu w oczy*).

To co?

BOLESŁAW (*n. s.*)

U! co za spojrzenie... dalibóg ona nawet ładna... (*głośno*) widzi pani, zazwyczaj opór rozdrażnia, a w rozdrażnieniu człowiek czasem nie umie panować nad sobą.

JADWINIA.

Od czegóż dobre wychowanie?

BOLESŁAW (*n. s. oburzony*).

E, to już za grubo... cóż to znowu... (*p. c. głośno, ochłonąwszy*). Przepraszam panią, ale rozmowa nasza wkroczyła na niewłaściwe tory... jak się to stało, sam nie wiem.

JADWINIA.

Ja nią nie kierowałam.

BOLESŁAW.

Być może, ale postawiłaś się pani od razu na stanowisku zbyt nieprzyjemnem dla mnie... dla czego? próżno silę się odgadnąć... chybabym przypuścił jedno, że jest ktoś, komu uroczyście przysięgłaś pani unikać towarzystwa każdego mężczyzny, chociażby ten chciał prowadzić z panią najobojętniejszą w świecie rozmowę.

JADWINIA.

Nie rozumiem pana.

BOLESŁAW.

A dla czegożeś się pani zarumieniła?

JADWINIA.

Przepraszam, zdaje mi się, że mnie mama woła... (*wychodzi na prawo*).

## SCENA XII.

**Bolesław**, (po chwili) **Marcin.**

BOLESŁAW.

Znowu! jak tak będziemy się bawić w chowanego, to zwiedzę po kolei wszystkie tutejsze apartamenta... ale nie ciekawym już niczego... dosyć tego ośmieszania się, niepodobna dłużej się kompromitować... (*chodzi*) miało to wszystko być w tajemnicy, tymczasem jak widzę, czekali tu mnie i ukartowali całą kabałę... notabene, wbrew woli panny, która jak się domyślam, ma już kogoś... (*po chwili*) a to dobre! każą mi szturmem zdobywać jej serce... ha, ha, ha, przepraszam! łakomstwo moje tak daleko nie sięga... (*po chwili*) muszę skręcić na miejscu dla własnego honoru.

MARCIN (*który zaglądał poprzednio przez okno, poufale*).

Uciekła, ale to nic, to nic.

BOLESŁAW (*zły*).

Czego chcesz?

MARCIN.

To tak bywa zawsze z początku, ale niech pan będzie łaskaw tem się nie dekurażować... że się panna krzywi, to fracha .. już ja w tem, że pan tu papierowych butów nie zedrze.

BOLESŁAW.

Co ten wygaduje!

MARCIN.

Tylko powiadam, że żyd tu wcale nie potrzebny... ja

wszystko lepiej poprowadzę, a na jakim fundamencie? to zaraz panu wytłómaczę.

BOLESŁAW.

Waryat? czy co?

MARCIN.

Proszę łaski pana, ja oboje rodziców znam bardzo dobrze, chociaż przyznam się, że nie spodziewałem się spotkać tutaj z nimi... nie wiedziałem, że kupili wieś, a zresztą on się dawniej nazywał prosto: Kiks, dopiero, jak został obywatelem, przechrzcił się na Kiksowicza.

BOLESŁAW.

A!

MARCIN.

Zkąd przyszli do takiego grosza, to już pomijam.. bo, detalicznie, nie wiem... chociaż nic dziwnego, bo co zdzierali, to zdzierali... tego sam byłem świadkiem.

BOLESŁAW.

Więc mieli handel jaki?

MARCIN.

Oberżę... piu! i jaką! pod Kogutkiem.

BOLESŁAW (*n. s.*)

Pod Kogutkiem... Kiks... a tobym się ubrał... łajdak żyd nic nie mówił.

MARCIN.

A ja znowu, proszę pana, byłem starszym kelnerem pod Łabędziem; ztąd znajomość.

BOLESŁAW.

A! więc żyliście z sobą.

MARCIN.

Tak... dosyć... chociaż niby byliśmy na etykiecie, bo Butelkowscy darli z nimi koty.

BOLESŁAW.

Cóż znów za Butelkowscy?

MARCIN.

Moi pryncypałowie z pod Łabędzia.

BOLESŁAW (*n. s.*)

Łabędź... Kogutek... państwo Butelkowscy... miłe stosuneczki.

MARCIN.

Otóż proszę ja pana, na fundamencie dawnej znajomości rozmawiałem dopiero co z samą Kiksowiczową o jej córeczce, rzeczywiście mają ochotę wydać ją za mąż.

BOLESŁAW.

Ano, wiesz co, to uderz.

MARCIN.

Ja?... ha, ha, ha! pan jest łaskaw kpić ze mnie... za wysokie progi... to teraz wielkie państwo, magnaterya.

BOLESŁAW.

Więc po cóż mi mówisz o tem wszystkiem?

MARCIN.

Ano, bo to pana interesuje, a i mnie także... (*poufnie*) proszę pana, żyda niech pan będzie łaskaw puścić w trąbkę, po co ten psubrat ma brać pieniądze licho wie za co?... tyle teraz hałasu o to, że nie możemy nic zrobić bez żydów, że im się opłacamy na każdym kroku... trzeba raz zrzucić z siebie tę opiekę. Otóż, ja panu zrobię interes sam... a co do wynagrodzenia, to ja nie żyd, spuszczam się na pańską delikatność.

BOLESŁAW.

Słuchajno, mój panie... jakże ci... Marcin, zdaje mi się.

MARCIN.

Marcin, do usług pańskich.

BOLESŁAW.

Plotki, jakieś banialuki, z których ani słowa nie zrozumiałem.

MARCIN.

Jakto, proszę łaski pana?

BOLESŁAW.

Najprzód, mnie nic a nic nie obchodzi, czy tu jest jaka panna czy nie.

MARCIN.

A przecie pan był łaskaw przyjechać tu umyślnie dla niej.

BOLESŁAW.

Gdzieżeś to wyczytał?

MARCIN.

Więc chyba żyd zełgał... a to psubrat!

BOLESŁAW.

A cóż on ci mówił?

MARCIN.

Mówił mi, że jedziemy się żenić, i uczył mnie co mam robić, żeby dobrze udawać pańskiego kamerdynera, po prostu... przepraszam honor pański... jak ich obsługiwać.

BOLESŁAW.

Obsługiwać?

MARCIN.

Nie inaczej... mnie się to bardzo niepodobało, bo kto to proszę łaski pana takiemi drogami idzie do interesu... to po żydowsku, a i pańskiemu honorowi to ubliża.

BOLESŁAW.

Bardzo ci wdzięczny jestem za opiekę nad moim honorem... to wszystko co ci mogę odpowiedzieć.

MARCIN.

Więc z tego nic nie będzie?

BOLESŁAW.

Nie fatyguj się.

MARCIN.

Widzę, że się panu nie podobała, to cała rzecz! jednak

to mnie dziwi... nie widziałem jej dawno, to prawda... ale to się zanosiło na ładną dziewczynę... bo to ja, proszę łaski pana, znałem jeszcze takim pędrakiem.

BOLESŁAW.

Nie mówię nic przeciwko jej urodzie.

MARCIN (*poufale*).

E! toby pan mógł jeszcze namyśleć się... (*po chwili tonem współczucia*) ona teraz będzie skompromitowana.

BOLESŁAW.

Jakto skompromitowana?

MARCIN (*j. w.*)

A oczywiście... w miasteczku aż się trzęsie, wszyscy już wiedzą, i tylko czekają, rychło wyjdą zapowiedzi... jak pan odstąpi, to będzie dopiero śmiechu... naturalnie nie z pana, tylko z panny... (*Bolesław chodzi, n. s.*) jak kamień... trzebaby mu keniecznie podsadzić jakiego pfeferu... możeby się to jeszcze skleciło... muszę pogadać ze starą... (*odchodząc, półgłosem, tak żeby Bolesław słyszał*). Szkoda, wielka szkoda... (*ociąga się nieco z wyjściem, ale gdy Bolesław nic nie mówi, wychodzi głębią*).

## SCENA XIII.

**Bolesław, (później) Onufry.**

BOLESŁAW (*chodzi w poruszeniu*).

No, więc ja ją skompromitowałem... ja! a to dobre!.. jak gdyby to nie oni sami... któż im winien... (*po chwili*) no, tak, prawdę powiedziawszy, odemnie zależało przyjąć od razu propozycyę żyda tak, jak na to zasługiwała... (*p.c.*) ładniem się zaplątał! a! uciec ztąd w jednej chwili! w służbę! do pracy! tak jak miałem zamiar... nie pojmuję doprawdy, jak mogłem chociaż chwilowo dać się tak obałamucić.

Onufry (*wchodząc z lewej strony, n. s.*)

No! trzeba tu przystąpić do rzeczy, póki jest sam... ale jak to obrócić... hm, hm... (*kłania się Bolesławowi, który się obejrzał*).

Bolesław (*n. s.*)

Co to za facet?

Onufry.

Przepraszam pana, że ja sobie wchodzę tak poufale... ale bywają czasami interesa tego rodzaju, że się nie uważa na ceremonie.

Bolesław.

Wnoszę ztąd, że pan masz do mnie interes, ale dziwna rzecz, bo jeżeli się nie mylę, pierwszy raz mam szczęście oglądać pańskie oblicze.

Onufry (*n. s.*)

Grzeczny.

Bolesław.

Więc przedewszystkiem z kimże mam przyjemność?

Onufry (*kłaniając się*).

Jestem Onufry Karpik, oficyalista w dobrach pana prezesa Mączalskiego.

Bolesław.

A! bardzo mi miło... a interes?

Onufry (*w pozycyi, wysławiając nogę*).

Proszę pana, czy to jest prawda, że pan przybyłeś tu umyślnie w pewnym zamiarze?

Bolesław.

O, o! to coś zakrawa na indagacyę... ośmielę się zapytać, kto pana do tego upoważnił?

Onufry.

Sama panna Jadwiga, panie łaskawy... tak!

Bolesław.

A kto ją? bo jestem w wątpliwości, czy sama ma do tego prawo?

ONUFRY.

A to dobre! nie ma mieć prawa, gdy pan tu przyjechałeś starać się o jej rękę?

BOLESŁAW (*n s.*)

I ten... (*głośno*) Ja!... (*śmieje się z przymusem*). Ha, ha, ha... starać się o rękę... ha, ha, ha! czyjże to tak niemądry domysł? pański czy panny Jadwigi?

ONUFRY.

Niemądry domysł! to jest niby głupi? pan to powiedziałeś! ale czy ja się nie przesłyszałem? powtórzysz pan jeszcze raz?

BOLESŁAW.

Mogę, nawet z dodatkiem czegoś grubszego, jeżeli to panu zrobi satysfakcyę.

ONUFRY.

Naturalnie, że zrobi... przecie to prosta rzecz: skoro pan powiadasz niemądry domysł, więc oczywiście to bajki, co trąbili.

BOLESŁAW.

Aha! więc to o to panu chodzi?

ONUFRY.

Jak to można sobie czasem w głowie coś uprząść!... a panna Jadwiga perswadowała mi, że to być nie może... bo jużcić trzebaby kogoś z wytartem czołem, żeby nie znając, nie widząc na oczy... (*poruszenie Bolesława*). Ale ja, jak to kiedy o czyją skórę chodzi, nie dałem i nie dałem się przekonać... (*poufnie, śmiejąc się*). Wie pan? bo muszę już wszystko powiedzieć... postanowiłem rozmówić się z panem na dobre... tak, albo tak? a w razie gdybyś się pan upierał, miałem tu na pana broń (*uderza się w piers*).

BOLESŁAW.

Broń?

Onufry (*śmiejąc się*).

Coś do przeczytania... (*pokazuje papiery*) a pan myślał że pistolety? gdzież znowu... (*z energią*) chociaż wie pan co, kto wie, czy jabym się i na to nie ryzykował... bo (*poufnie*) proszę pana, ja z panną Jadwigą dawno się kochamy.

Bolesław (*n. s.*)

Więc to jest ów nieszczęsny mój rywal.

Onufry.

Panie łaskawy! co ja przeszedłem, to niech ręka Boska broni! ze mnie teraz ledwo cień tego, co był dawniej... pan się śmieje, bo mnie nie widział tak naprzykład przed dwoma laty... no, koniec końcem, myślałem sobie już co złego zrobić, bo mi życie zbrzydło.. starym takie fumy przyszły z tą wsią, że ani ich uproś... ale teraz zmieniła się postać rzeczy, muszą być powolniejsi... chociaż ja i przedtem byłbym się wziął bez niczego, mam zdrowe ręce i jaką taką posadkę, to mogę przy Boskiej pomocy utrzymać żonę... o jej!

Bolesław.

A cóż się stało, bo nie rozumiem? wszakże panna Jadwiga ma podobno posag?

Onufry.

Powiem panu w sekrecie: starego oszukali... sprzedali mu wieś, na której były jakieś nie umorzone pretensye, i o te go teraz pozywają... trzeba będzie albo wyjść ze wsi, albo zapłacić bez mała drugie tyle co kosztuje... (*poufnie*) a tu pieniądze się wysypały.

Bolesław.

Aha! więc to ta broń! ale wie pan, że mam pretensyę... sądziłeś pan, że ja, przybywszy tu starać się o pannę, byłbym ją odstąpił, dowiedziawszy się o owej katastrofie majątkowej! a to ładne pan miałeś o mnie wyobrażenie.

Onufry.

No, przecie ja tak akuratnie do pana tego nie stosowałem, tylko w ogóle... do konkurentów... jeszcze też takich, co żydów biorą na swaty... ja znam ludzi.

Bolesław.

Dla czegoż pan przypuszczasz, że sam tylko jesteś zdolnym do bezinteresowności... możeby też i kto inny potrafił się wznieść tak wysoko.

Onufry.

Panie łaskawy! najprzód, ja kocham pannę Jadwigę, to raz... nie przybywam do niej zkądsiś tam, z za morza... a powtóre, co to gadać... taki prosty sobie człowiek jak ja, co się nie boi pracy, to co innego... ale panowie! niby ja nie wiem... pieczone gołąbki im pachną, do gotowego półmiska aż się trzęsą, byleby rączek nie spracować... co się zresztą dziwić, tak ich wychowali, i już!

Bolesław (*n. s*).

A to rżnie prawdy! podobał mi się... (*głośno*). Mam nadzieję, że pan nie stosujesz tego do mnie, przekonawszy się, jak niesłusznie mnie posądzałeś.

Onufry.

Ja pana bardzo przepraszam, ale djabliż wiedzieli.

Bolesław.

Za to zrób mi pan jedną łaskę.

Onufry.

Łaskę?

Bolesław.

Tak jest. Zapewne to pański koń, uwiązany przy płocie za ogrodem.

Onufry.

Mój... (*z dumą*) własny, proszę pana.

Bolesław (*n. s.*)

Bogatszy odemnie... (*głośno*) pożycz mi go pan na pa-

rę godzin, bylem się dostał do miasteczka... daję panu słowo, że natychmiast ztamtąd odeszlę go panu przez kogoś pewnego.

ONUFRY.

Owszem... hm, hm... ale...

BOLESŁAW.

Odmawiasz pan?

ONUFRY.

Ale gdzież tam! niechże mnie pan nie posądza o to... tylko dziwno mi, bo pan przecie ma tu swój powóz.

BOLESŁAW.

To nie mój... powiadam panu otwarcie... nie pytaj pan o więcej, tylko zrób mi tę przysługę, i zechciej ułatwić odjazd tak, żebym się nie widział z żydem.

ONUFRY (*żywo*).

A, a, a... to o to idzie?... z największą chęcią, już chociażby tylko dla tego, żeby mu kawał urządzić... (*n. s.*) niechby mi bodaj i koń przepadł!... (*głośno*). Idź pan tędy... (*wskazuje na drzwi do pokoju bawialnego*) przez ten pokój dostaniesz się pan prosto do ogrodu... (*głębią wchodzi Kiksowicz z Mośkiem; Bolesław przykłada prędko chustkę do nosa*).

MOSIEK (*n. s. do Kiksowicza*).

Patrz pan, jak on mu bałamuci w głowie.

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Cóż to? a gdzież Jadwinia? musiała odejść do siebie... (*wychodzi na prawo, za nim Mosiek*).

BOLESŁAW.

Idę, ale jeszcze słówko... nie wspominaj pan nikomu, że mi mówiłeś o tych zawikłaniach majątkowych, rozumiesz pan, o co mi chodzi?

ONUFRY (*domyślnie*).

Rozumiem, rozumiem.

BOLESŁAW.

Chcę być czystym i nie dawać powodu do posądzeń... wszak mam w panu świadka, że jeszcze przedtem wyparłem się narzuconej mi gwałtem roli konkurenta. No, dajesz mi pan na to słowo?

ONUFRY.

Słowo uczciwości.

BOLESŁAW.

Teraz jestem spokojny... dziękuję i żegnam pana... (*n. s. wychodząc*) chwała Bogu, unikunę męki jakąbym znosił, będąc zmuszonym pozostać tu dłużej pomiędzy nimi... (*wychodzi na lewo*).

## SCENA XIV.

**Onufry** (potem) **Kiksowicz. Jadwinia, Mosiek** (potem) **Kiksowiczowa, Marcin.**

ONUFRY (*po chwili*).

Wszystko to dobrze, ale jeżeli tak, to po co on tu przyjeżdżał? (*p. c.*) po co? hm... głupiemu powiedzieć... jak mówiłem od początku, tak też było... tylko nie rozumiem, co mu się znowu tak spieszyło z odjazdem... (*p. c.*) E, nic innego, tylko musiała go tam Jadwinia utraktować, bo ona to jak zechce, to potrafi się postawić..„ a że człowiek z ambicyą, bo to znać zaraz, więc go wstyd było;.. (*p. c.*) Oj! to jest dziewczyna... szukać daleko... co to ja za żonę będę miał.

KIKSOWICZ (*z prawej strony, prowadząc Jadwinię*).

Czego ty uciekasz od kompanii... po jakiemu to? co gość o tobie pomyśli, żeś za piecem chowana, czy co?

JADWINIA (*zirytowana*).

Może pomyśleć co gorszego, gdy spostrzeże, że mnie

ojciec przymusza, jak gdyby chciał jaknajprędzej pozbyć się z domu.

KIKSOWICZ.

Te, te, te... myślisz, że jak się odezwiesz górnie, to już cię będę słuchał... robić jak ojciec każe i kwita... (*ogląda się*). Gdzież on się podział? dopiero co tu był.

ONUFRY.

Krew mu się rzuciła nosem, i wyszedł do ogrodu.

MOSIEK.

Do ogrodu?

KIKSOWICZ (*podejrzliwie*).

A o czemże pan tu z nim rozmawiałeś?

ONUFRY.

Tak sobie o tem i owem... opowiadał mi rozmaite kawałki o tym spekulancie (*wskazuje na Mośka*) o! to jest ptaszek, którego się trzeba strzedz.

MOSIEK (*trzymając się zawsze za Kiksowiczem*).

Jakie kawałki? i to prawda ma być?

KIKSOWICZ (*rozdrażniając się*).

Mój panie Karpik, przestań też pan raz wtykać nosa w nasze domowe sprawy, bardzo prosze.

ONUFRY.

Niechno pan tylko pozwoli.

KIKSOWICZ (*coraz więcej rozdrażniony*).

Co mi tam! albo i to! awantury robić w moim własnym domu, rozbijać ludzi!

ONUFRY (*podnosząc także głos*).

Ale co go pan słuchasz, to oszust patentowany.

MOSIEK.

Dobrze, co ja mam świadków.

KIKSOWICZ (*w pasyi, tupiąc nogą*).

Panie Karpik! cóż to znowu!

Jadwinia (*zatykając uszy*).

A! Jezus Marya... cóż za sceny... (*chce odejść*).

Kiksowiczowa (*wbiega drzwiami w głębi, za nią Marcin*).

Piotruś! Piotruś! chodźno prędzej... (*porywa go za rękę i ciągnie za sobą*).

Kiksowicz.

Co to? pali się?

Kiksowiczowa (*popycha go do ganku, a sama zostaje na progu; ukazując ręką ku lewej stronie*).

Patrz! widzisz? tam!

Kiksowicz.

Koń pana Karpika.

Kiksowiczowa.

A na nim kto? (*Kiksowicz robi daszek z ręki*). Nie widzisz?... gość!

Kiksowicz.

Gość!? (*wracają na scenę; Kiksowicz bardzo zmięszany*). Gdybym nie widział na własne oczy.

Mosiek (*który za nimi poszedł z ciekawości*).

On!... (*wybiega*).

Kiksowiczowa (*spoglądając na Onufrego, który ma minę dwuznaczną i na Jadwinię spoglądającą nań badawczo*).

To tak! trafił się raz ktoś i takeście go przyjęli, że ucieka jak od zapowietrzonych... śliczne rzeczy... (*p. c. do męża*). Wyobraź sobie, chodzimy po ogrodzie z panem Marcinem, aż tu...

Kiksowicz.

Z jakim znowu panem Marcinem?

Kiksowiczowa (*do ucha*).

Nie widzisz? znajomy... (*Marcin się kłania*).

Kiksowicz (*do ucha*).

Wszakże to dawny kelner od Butelkowskich.

KIKSOWICZOWA (*j. w.*)

E, od świętej pamięci nie jest kelnerem... nic nie wiesz, później ci powiem... (*głośno*). Otóż tedy patrzymy, aż tu...

MOSIEK (*wracając*).

Pojechał! uciekł! leci aż się za nim kurzy! co to jest? (*gwałtownie do Kiksowicza, wskazując Onufrego*). To jego robota! oni się znają.

KIKSOWICZ (*do Onufrego z pewnem znękaniem*).

No, jużci to rzeczy podejrzane... odjechał na pańskim koniu... pan musisz coś wiedzieć.

ONUFRY.

Mogę panu przysiądz na co tylko pan zechcesz, że nie wiem, dla czego to zrobił... a że mu konia pozwoliłem, no, to nie wypadało mi odmówić, gdy o to prosił, tylko kazał się kłaniać swemu plenipotentowi, i powiedzieć, że już więcej jego oczy oglądać go nie będą.

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Pan Bóg mnie skarał, pan Bóg mnie skarał.

MOSIEK (*po chwili wybuchając*).

Co! on mnie taką sztukę zrobił? takie obszustwo? i to szlachcic jest! to szlachcic! wielki pan! w butach chodzi, a boso go znać... gałgan! on mi winien dwa tysiące rubli i miał mi oddać z posagu... a teraz na czem ja go będę patrzał? zkąd będę odbierał? aj, aj!... (*rzuca się na krzesło; w głębi*).

KIKSOWICZ.

Jakto! to ty chciałeś mi zaprzedać jedyne dziecko jakiemuś golcowi?

MOSIEK (*z krzesła*).

Ny, co pan myszlał, że pan dostanie takiego, co ma miliony, i jeszcze żeby z wielkiej familii był?... (*wstaje*) takiby pewno patrzał na was i na waszą Kocią Górkę!

JADWINIA (*oburzona n. s.*)

Ah! Boże... słuchać takiej mowy.

KIKSOWICZ (*w pasyi, rzucając się ku Mośkowi*).

Milcz! bo cię...

KIKSOWICZOWA.

Piotruś! (*chwyta go z tyłu i przytrzymuje*).

ONUFRY.

Proszę pana, ja mu tę gębę zamaluję, to nie ma rady.... (*chce wziąść kij*).

JADWINIA.

Panie Onufry! (*przytrzymuje go*).

MOSIEK (*chowając się za Marcina, który się znalazł w środku pomiędzy wszystkimi*).

Ja się was wszystkich nie boję... ja mam tu świadka... on musi świadczyć na to, co tu widzi i słyszy, bo on mi winien pieniądze... (*do Kiksowicza*). Pan mi musi oddać te pięćset rubli, co napisane na rewersie.

KIKSOWICZ (*z pasyą*).

Za co?

KIKSOWICZOWA.

Piotruś!

MOSIEK.

Za co? za to, że ja jego szafował panu na zięcia... on chciał się żenić, i byłby mi oddał mój dług.

MARCIN (*chcąc się oswobodzić od Mośka, który się trzyma jego ramion*).

Cóż u djabła i z żydem.

MOSIEK (*nie puszczając go*).

Tylko jak się tu coś dowiedział, tak uciekł.

KIKSOWICZ (*j. w.*)

Co się dowiedział?

KIKSOWICZOWA.

Piotruś!

MOSIEK.

Czy ja wiem? a po co mu się panna nie spodobała? ja przez to stratny.

ONUFRY.

Zamkniesz ty tę faflę?

JADWINIA.

Panie Onufry!

MOSIEK.

Co mnie do tego? ja go na to przywiózł... a kto mnie teraz wróci moje straty, kto mnie odda moje pieniądze?... ja ich muszę mieć... ja bez tego ztąd nie odjadę, rozumie pan?

MARCIN (*zrobiwszy wysilenie, odrzuca go na przód sceny*).

Idź do choroby! (*Mosiek zestraszony, przemyka się pomiędzy wszystkimi i wybiega drzwiami w głębi*).

ONUFRY (*śmiejąc się*).

Czekajno! czekaj! gdzie się spieszysz? ja ci oddam.

MARCIN.

Przepraszam państwa za niego, ale to nie moja wina... żyd zawsze żydem... padam do nóżek państwa... (*kłania się i wychodzi za Mośkiem*).

## SCENA XIV.

**Kiksowicz, Kiksowiczowa, Onufry, Jadwinia.**

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Mam teraz dobrą naukę... (*chodzi zmartwiony*).

KIKSOWICZOWA (*n. s.*)

Jesteśmy skompromitowani... jak się Butelkowscy dowiedzą, dopiero będzie... (*rzuca się na kanapę*). Ah, ah...

niedobrze mi... (*dobywa z kieszeni papieros i zapala; Jadwinia przytrzymała Onufrego, który chciał wybiedz za Mośkiem i rozmawia z nim przy oknie; gra niema; Kiksowicz spogląda parę razy z pod oka na nich; na jego twarzy maluje się walka wewnętrzna i niezdecydowanie; po chwili Kiksowiczowa wstając*) Tak mnie to zirytowało... (*chodzi paląc*).

KIKSOWICZ (*dając znaki Onufremu, półgłosem*).

Panie Onufry... panie Onufry! (*Onufry przybiega; niby gniewając się, ale łagodnym tonem*). Co pan tam masz za konszachty jakieś z Jadwinią?

ONUFRY (*nieśmiało*).

Mielibyśmy prosbę do państwa.

KIKSOWICZ (*przedrzeźniając go dobrotliwie*).

Mielibyśmy... mielibyśmy... ej! pan jesteś szpaczek .. i Jadwini nie brakuje. (*Onufry całuje go w ramię; po chwili*). Weź ją pan, i idźcie do matki. (*Onufry biegnie, bierze za rękę Jadwinię której szepnął do ucha, i idą do matki, chcąc przed nią przyklęknąć*).

KIKSOWICZOWA.

A to co?

JADWINIA.

Prosimy, żeby nas mama pobłogosławiła... (*bierze jej rękę, Onufry drugą, chcąc ją pocałować*).

KIKSOWICZOWA (*unosząc ręce*).

Ja!... a w imię ojca i syna... dajcież mi pokój! Pietruś! słyszysz? jeszcze czego! coby na to Butelkowscy powiedzieli.

KIKSOWICZ (*zniecierpliwiony*).

Butelkowscy... Butelkowscy... jeżeli się śmieli z nas, gdyśmy porzucili oberżę, a kupili wieś, to mieli racyę... nie wiem gdzieśmy wtenczas rozum podzieli.

KIKSOWICZOWA (*do ucha*).

Ty zawsze jesteś Kiks... nie warteś być obywatelem.

KIKSOWICZ (*podobnież*).

Czekaj, czekaj końca.

JADWINIA (*całując matkę w rękę*).

Mamusiu! mama nie jest taka zawzięta, jak w nas chce wmówić.

KIKSOWICZOWA.

Nie, nie... nigdy! przenigdy! róbcie sobie co chcecie, ale bezemnie... ja nie pozwolę... odjechał ten, to będzie drugi.

JADWINIA.

Ale nie będzie, mamo.

KIKSOWICZOWA.

A to dla czego?

JADWINIA.

Ja mamie coś powiem... (*mówi do niej n. s.*)

KIKSOWICZ (*n. s.*)

Coraz gorzej mi idzie... nieurodzaj.. procesa... ale! (*do Onufrego*) cóż tam w tym pozwie?

ONUFRY,

E! to nic... później panu powiem.

KIKSOWICZ.

Nie musi być nic dobrego.

KIKSOWICZOWA (*wysłuchawszy Jadwini*).

Co?... ah! ah! ah!.. wypędzą nas! wypędzą! nie dobrze mi... (*zaciąga się parę razy: do Onufrego i Jadwini*). Ż n·cie się, i dajcie mi święty pokój... ja tego nie przeżyję! (*po chwili, chodząc*). Ah! ten Piotruś, ten Piotruś! co on porobił!

KIKSOWICZ.

Cóż ja porobiłem?

KIKSOWICZOWA.

Spytaj się pana Karpika... zapłaciłeś tyle pieniędzy, i za nic! za nic!

KIKSOWICZ.

Jakto, za nic?

KIKSOWICZOWA.

A naturalnie... (*do Onufrego*). Mówże pan! (*chodzi i pali*).

KIKSOWICZ (*z obawą*).

To ten pozew?

ONUFRY.

Ale nie ma nic takiego.

KIKSOWICZOWA.

A cóż mi Jadwinia mówiła?

KIKSOWICZ (*zestraszony*).

Więc zawsze jest coś... kryjecie przedemną... (*do Onufrego*) powiedz, zlituj się... wypędzają nas ze wsi?

ONUFRY.

Ale gdzież tam! cała rzecz, że trzeba zacząć żyć trochę oszczędniej... (*po chwili*) zresztą, co jest, to jest, dosyć, że będzie dobrze, już ja za to biorę odpowiedzialność... (*z energią*) mam praktykę i znajomość rzeczy, mam trochę uciułanego grosza, a pracy się nie zlęknę....prędzej ręce porobiam, niż moja żona dowie się, co to niedostatek! (*gwałtownym ruchem porywa Jadwinię w objęcia*).

JADWINIA.

Panie Onufry!

ONUFRY.

Tak! śmiało mogę ręczyć za wszystko, byle pan Bóg dał zdrowie! i klnę się, że póki ja żyję, nikt was ztąd nie ruszy, bądźcie spokojni!

KIKSOWICZ (*rozrzewniony całuje go w głowę*).

Poczciwości!... (*całuje również Jadwinię*) niech was

Bóg błogosławi... (*n. s. ocierając oczy*) pierwszy raz oddawna odetchnąłem spokojnie.

Jadwinia (*uwalniając się zlekka z objęć Onufrego*).

Zkądże się pan zrobiłeś nagle taki śmiały... proszę!

Onufry.

Ja sam nie wiem... (*uderzając się w piers*) tu teraz we mnie coś takiego się dzieje, że na wszystkobym się odważył... (*całuje ją po rękach; rozmawiają z sobą n. s.*)

Kiksowiczowa (*do męża na boku*).

Widzisz, to mąż będzie! nie taki safanduła jak ty... (*po chwili, łamiąc ręce*). Bój się Boga, gdzieś ty miał głowę, żeby tak wykierować interesa?

Kiksowicz (*obruszając się*).

Tylko mi nie wymawiaj, bo robiłem to co sama chciałaś... wszakże koniecznie zażądało ci się tej wsi.

Kiksowiczowa.

A to dobre! wiecie państwo... cóż to nie miałeś swojej woli, czy co? jak mąż jest energiczny, to żona tak musi skakać jak on zagra... wiesz o tem? (*dobywa papierośnicę i chce zapalić świeży papieros*).

Kiksowicz (*dotknięty*).

E! bo to już cierpliwości brak, jak pana Boga kocham! (*spogląda na nią gniewnie; po chwili*) dajno te papierosiki (*odbiera jej papierośnicę*).

Kiksowiczowa.

Po co?

Kiksowicz (*chowając do kieszeni*).

Mówiłem ci tyle razy: nie pal! bo to i nie zdrowo i pieniędzy szkoda... właśnie Onufry mówił, że trzeba się oszczędzać.

Kiksowiczowa.

No, no, bez tych konceptów, oddaj.

KIKSOWICZ.

Nic z tego! konfiskata.

KIKSOWICZOWA.

Piotruś!

KIKSOWICZ.

Zobaczysz, jakim ja energicznym mężem zacznę być od dzisiaj.

KIKSOWICZOWA (*z ironią*).

Rychło w czas... niebym zresztą nie mówiła, gdyby to było naprawdę, ale wiem, że udajesz.

KIKSOWICZ.

Udaję? no, no, zobaczymy.

KIKSOWICZOWA (*proszącym tonem*).

Piotruś! ja się tak już przyzwyczaiłam... oddaj... (*głaszcze go po twarzy*) no, oddasz?

KIKSOWICZ (*po chwili, oddając*).

Ostatni raz... pamiętaj! (*Kiksowiczowa uśmiecha się dwuznacznie. Zasłona spada.*)

KONIEC.